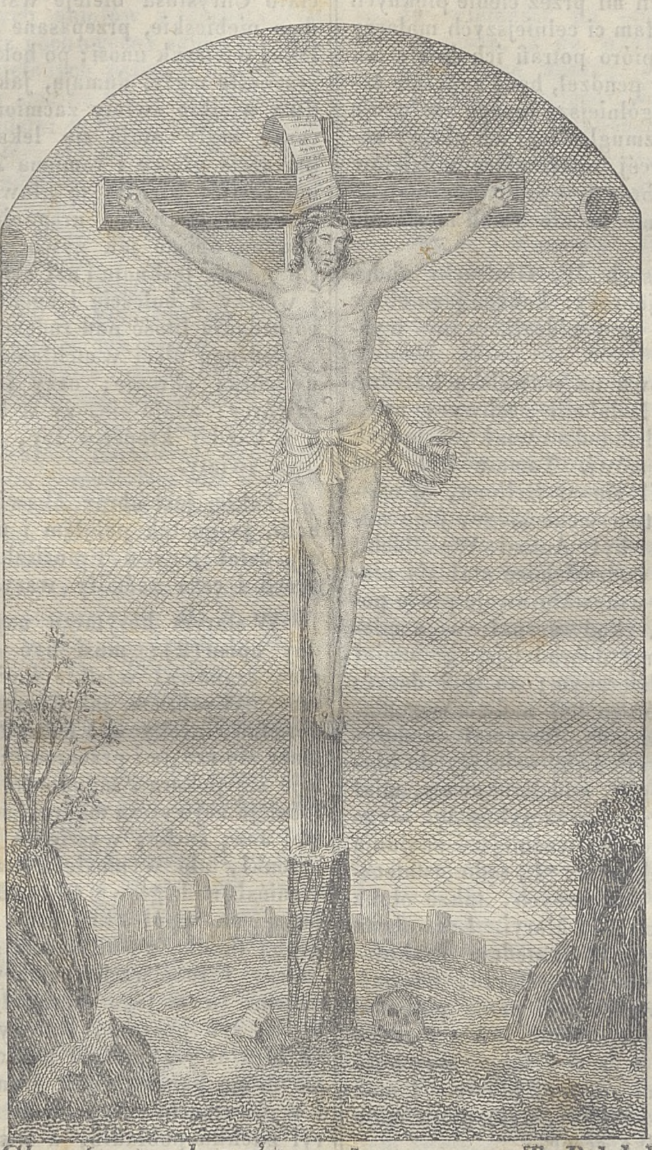
Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 7.** Leszno, *dnia 15. Sierpnia 1840.*



Chrystus na krzyżu, malowany przez T. Dolabellę.

Pamiątki z Krakowa.

Tomasz Dolabella (1).

...Niewidziałem dzieł Rubensa, Tyciana, Michała Anioła, Salvadora Rosy, ani Van-Dicha; ich dzieła są nieporównane, uderzają nas wielkością pomysłu, i zachwycają cudownym pendzlem, ażeby je dokładnie i sprawiedliwie ocenić, potrzeba się zbliżyć duchem i myślą do ich wielkich autorów: daleki jestem od tego; wielcy mistrzowie, znaleźli wielkich krytyków i szacowników, ja rozważałem dzieła naszych malarzy, odgadywałem ich myśli, i pieściłem się tylko ich pięknotą. Ty wiesz, że ja podzieliłem artystów na dwie

(1) Zob. P. L. N. 25. R. VI.

klassy, poetów i rzemieślników; dzieło malarza poety uderza nas i zastanawia, zamyka w sobie myśl; ono żyje, tchnie, mówi; w niém myśl jest tak nieśmiertelną, jak dusza w człowieku; dzieło zaś malarza rzemieślnika jest martwe, iskrzy się kolorami, ślni politurą, lecz niemasz tam ani życia, ani pomysłu.

W zamian posłanych mi przez ciebie pięknych kopii St. Urbino, posełam ci celniejszych malarzy polskich, jeżeli moje pióro potrafi ich dzieła tak odkopijować, jak twój pendzel, będę zupełnie zadowolniony. Na szczególniejszą uwagę zasługuje Michał Stachowicz i Szmuglewicz: ich obrazy zamykają sceny najwięcéj interesujące z dziejów narodowych, każden obraz jest prawie poematem, a myśl głęboka wiecznie będzie z nich mówić do zachwyconego widza.

W dzisiejszych czasach JP. Głowacki obdarzył nasz w liczne krajobrazy: każden jego obraz zdjęty z natury, mile jest uidealizowany wyobraźnią artysty.

Lecz wstąpmy znowu na wawelską katedrę, tam dzieła Tomasza Dolabelli zachwycą nas i upieszczą; one mają blisko dwa wieki, a jednak wszystko tam żyje i mówi. Tomasz Dolabella był Włochem, urodził się w Belluno, w miasteczku dawnego państwa weneckiego, jego mistrzem i nauczycielem był Antoni Wasillachi, jednakowoż zacny ten cudzoziemiec stał się niemal krajowcem, gdyż wszystkie swoje prace poświęcił dla téj krainy, zkąd czerpał swoje mienie, i od któréj odbierał dobrodziejstwa: umiał być przynajmniéj wdzięcznym; to już dosyć; Zygmunt też III., którego był nadwornym malarzem, obdarzał go nielada. Trzymał on dożywotnią dzierzawą folwark Łęk, należący do klasztoru Cystersów w Mogile, pod Krakowem, miał za żonę Agnieszkę Piotrkowszczykównę. Jego dzieła są bardzo liczne; najważniejsze znajdują się w kościele Franciszkanów: 1., sądu ostatecznego; 2., wyroku na potępionych, także obraz zdjęcia z krzyża w kościele P. Maryi. Lecz obraz ukrzyżowanego P. Jezusa w katedrze krakowskiéj, umieszczony w wielkim ołtarzu, na największą zasługuje uwagę, tak przez piękność i wielkość pomysłu, jako też dokładne wykończenie; wysokość jego wynosi 7 łokci, szerokość zaś 4; robiony jest na srebrnéj blasze. I otoż jego opis najwierniéj skreślony, o ile pióro moje potrafiło oddać tę wielką scenę.

Ziemia, w któréj krzyż był utkwiony, zdaje się być czarnym i nieforemnym bałwanem, jakby mieszkanie wiecznéj nocy, cierpienia, walki i zbrodni; zeschły krzak, odarty burzą czy ręką człowieka dziką, jeży się opodal krzyża, a trupia głowa, symbol śmierci, wala się u stóp jego. W głębi, na tle czerwonawéj łuny, odcina się w czarnych zarysach olbrzymie miasto Jeruzalem; ta łuna nie jest gwałtownem światłem pożaru, jestto nakształt odblasku, na wpół otwartego piekła, odblask, któren dusza odgadnie, lecz nie wyrazi, ani śmie powiedzieć, zkąd pochodzi. Ona nic nieoświeca; zdaje się, że to jest światło z innego świata, świeci nad miastem jak przekleństwo, jak przepowiednia przeszłego zniszczenia nieszczęśliwego miasta. Im wyżéj od ziemi, tym bardziéj czarne cienie nocy przemieniają się w zamiérzchły chaos, chmury cienczeją, ciało Chrystusa bieleje wśród téj nocy jak widmo niebieskie, przepasane błękitną szatą, którą lekki wietrzyk unosi: po bokach uwinione w przezroczyste mgły, dumają, jakby w rozpaczy i żalu dwa wielkie światy zaćmione, księżyc i słońce; coraz mgły stają się leksze, przezroczystsze, nareszcie głowę i ramiona Zbawiciela uwieńcza najczystszy błękit; tę głowę, którą ludzie ukoronowali cierniem, urąganiem i bluźnierstwem. Trudno opisać jak żywo w jego twarzy maluje się boleść, tęsknota i żal człowieka, któren cierpi i walczy z boleścią i zgonem, i znowu wyraz, co oznacza litość nad rodem ludzi i bóstwo, które zaniedługo uleci w otchłanie tego błękitu, co mu uwieńcza skronie; oczy jego są zwrócone ku Stwórcy; zdaje się, że w każdém oku lśni łza, a w każdéj kropelce łzy, dwie gwiazdki, czy dwa światy.

Takim jest obraz Zbawiciela Tomasza Dolabelli, ja go tak pojąłem i uczułem. Jest i więcéj dzieł jego u Franciszkanów, lecz wilgoć, proch i czas zaćmiły wszystko.

W starym korytarzu napotkałem obraz godny opisu (2): musi być bardzo dawny, ale czas szanował wielkie i piękne pomysły malarza. Wyobraża, jak Chrystus wstępuje wnurty Jordanu, ażeby był ochrzconym, a wody jego stały się czyste i przezrocze; na jego twarzy maluje się pokora i łagodność, lecz w czole i w oku jaśnieje najwyższa mądrość i bóstwo; wyżéj niego stoi Jan; suche, wywiędłe i szczerniałe są jego członki, ale wyniosłe i kształtne; prawą rękę wzniósł nad głowę Chrystusa, w lewéj trzyma laskę na wpół okrzesaną, chociaż przepasany grubą tkanką z wielbłądziéj szerści, chociaż włos czarny i rozpierzchły pokrywa proch pustyni, chociaż twarz jego wychudła i ogorzała, widno, że to syn puszczy, surowy przyjaciel prawdy, że to głos jego wśród puszczy woła: „prostujcie drogę pańską,“ jak grzmot w załomach skał i w równinach. Nad niemi miedziane niebo Syryi z lekka pobladło, a w srebrnym obłoku gołąbek zbiega nad głową Zbawiciela. Patrz, jak kwiaty wodne nachyliły swe głowy ku wodom Jordanu, aby choć kropla z głowy Zbawiciela wpadła w ich otwarte kielichy i udzieliła im téj łaski i miłosierdzia, które tak pełno zlał na lu-

---

(2) W kościele franciszkańskim znalazłem podobny obraz w roku 1827. lub 8. Często przechodziłem błądzić po licznych i ciemnych korytarzach, aby go rozważać. W tych czasach jest nic do poznania; proch, wilgoć, nietylko zniszczyły farby, lecz i płótno.

dzi; patrz, jak jego fale z lekka czołgają się do kolan Chrystusa, a palmy pustyni z ciekawością i uszanowaniem wychyliły zielone głowy z pomiędzy skał, ażeby widzieć człowieka i Boga, ażeby być uczestnikami wielkiéj sceny, z największego dramatu, jaki odbył się kiedy w przeciągu wieków na téj ziemi.

Patrz, jaka harmonija w całym obrazie! nie masz tam widzialnych aniołów z rozpostartemi skrzydłami, lecz widz pochwycony szuka ich myślą i duszą wśród zielonych palm, w każdéj fali Jordanu, i zdaje mu się, że ich widzi w klęczących kwiatach na wodzie; w fantastycznym układzie nieba i ziemi, które się tak dziwnie ze sobą łączą, a jednak tak odrębne stanowią przedmioty, jak świat dotykalny i duchowy, jak ciało i dusza.

Lecz jak dziwne i różne są wyobrażenia ludzi! To, co ja uwielbiałem, u nich było pełne błędów i niedorzeczności. Obok mnie stojący Jegomość zarzucał, że ś. Jan był do zbytku chudy i opalony od słońca jak cygan; że jego włosy są nieznośnie plugawe i poczochrane; jego zdaniem malarz powinien mu nadać ciało białe i mniéj wychudłe, włosy porządnie uczesane, i twarz ozdobioną lekkim zarośłem, nakształt faworytów. Zapewnie, pomyślałem sam w sobie, natenczas potrzebaby umieścić na brzegu, tużurek, kapelusz i trzcinę. Ktoś inny utrzymywał, że niebo wcale jest bez błękitu, nazbyt miedziane. Nakoniec niektórzy z pobożnych przyrzekli solennie, że wkrótce postarają się dla P. Jezusa o srebrną sukienkę, a dla obydwóch o długie około głowy promienie (3). Wtenczas możesz sobie łatwo wystawić, że zadrzałem: ci pobożni ludzie zdawali mi się prawdziwymi barbarzyńcami sztuki.

Ale dosyć już, może aż nadto. Ty jesteś malarz, poeta, wiesz jak dziwna i sprzeczna zachodzi harmonija pomiędzy nami i miejscem naszego pobytu; ty jesteś w Rzymie, ja w Krakowie; ty dumasz na starym Watykanie, ja na skałach Wawelu; ty błądzisz nad brzegami Tybru, a ja na piaszczystych wybrzeżach Wisły; ty potrącasz odłamy dawnéj potęgi i sławy Tarkwiniusza, Brutusa, Aureliusza i Trajana, a ja Piastów, Jagiełłów i Zygmuntów; lecz twoja dusza i serce tęschni za Wisłą i skałami wawelskiemi, a może serce ledwie wspomni o Tybrze i Watykanie.

---

(3) U OO. Kapucynów w wielkim ołtarzu jest obraz Zwiastowania N. P. Maryi, roboty Tomasza Dolabelli. Pobożne jakieś bractwo ufundowało sukienkę srebrną dla Matki Boskiéj, i promienie nadzwyczajnéj wielkości około jéj głowy, najpiękniejsze fałdy jéj sukni, boskie kształty ciała są pokryte srebrną blachą, owal głowy zeszpecony, i cały koloryt obrazu zepsuty przez liczne metalowe promienie, które go poprzecinały w rozmaitych kierunkach.

Kanton.

Po kilka razy mówiliśmy już w Przyjacielu ludu o Chinach, owém państwie, porównaném przez Herdera z mumią w bogatéj trumnie złożoną, hieroglifami i kosztownym jedwabiem pokrytą. Dla uzupełnienia obrazu, podajemy dziś miasto Kanton, pierwsze co do handlu, drugie co do wielkości po stolicy państwa zajmujące miejsce, i ze wszystkich względów na szczególniejszą zasługujące uwagę; a równie jak Kalkutta, najgłówniejsze z miejsc składowych na całym wschodzie.

Podróże Europejczyków do Chin, ograniczają się po większéj części, dla trudności stawianych im przez zazdrośnych Chińczyków, na zwiedzaniu Makao i Kantonu. Okręty europejskie lądują zwykle przy Makao, gdzie się kwitnąca osada portugalska znajduje, zkąd ciekawi wędrownicy i kupcy na lekkim statku w 30 godzinach płyną do Kantonu. Właściwe miano miasta tego jest Quang-tschou-fu; leży ono na lewym brzegu rzeki Tschou-kiang, przechodzącéj w szerokości samą Tamizę. Rzeka ta przebiegłszy 30 mil drogi, wpada do wielkiéj zatoki żółtego morza, okrążającego południowe cesarstwa chińskiego prowincye. Przy samém ujściu rzeki, wznoszą się dwa pagórki, najwięcéj na strzał ręcznéj broni od siebie odległe. Europejczycy przejście to nazywają **Bocca Tigris** (paszcza tygrysa). Znajduje się oprócz tego drugi przystęp do miasta, który tworzy mniéj znaczne ramię rzeki, lecz to jest bardzo mało uczęszczane, a Europejczycy nigdy niém niepłyną. Im bliżéj Kantonu jesteś, tém coraz bardziéj ożywioną i zajmującą znajdujesz okolicę; nad brzegami Tschou-kiang leżą liczne wśie i pagody; wszystko wokoło coraz więcéj rozmaitości i życia nabiera, aż naraz widzi się podróżujący wśród mnóstwa statków i bark kupieckich, które rozwinąwszy różnokolorowe flagi, z wiatrem lekko pędzą po wodzie. Niezliczone mnóstwo batów krąży w rozmaitych kierunkach, słowem, taki ruch panuje, iż na pierwszy rzut oka, mianowicie z dala, powierzchni wody nie widzisz. Ten ruch ciągły statków, co wniedających się oznaczyć i rozróżnić kierunkach krążą, i jakoby most żyjący pomiędzy azyatycko-chińskim a europejskim światem tworząc; ten gwar mięszaniny tysiąca głosów ludzi, rozmaitemi mówiących językami, wszystko to razem wzięte, szczególniejsze robi na Europejczyku wrażenie. Widzisz tu statki przykryte, będące pływającemi domami dla wielu tysięcy rodzin, co całe życie przepędzają na wodzie; albowiem zatrudnieniem ich jest, przewożenie towarów z jednego miejsca na drugie, rybołówstwo, a nawet niekiedy i rozbój.

Jeden z najnowszych podróżników, który kilkakrotnie zwiedzał przystań Kantonu, utrzy-



Widok miasta Kantonu w Chinach.

muje, iż nie ma nic bardziéj zajmującego dla cudzoziemca, jak widok, który się rozwija przed oczyma wjeżdżającego przez paszczę tygrysa nocną porą z zatoki do Kantonu. Scenę tę pełną życia tak opisuje: „Gdy cienie wieczorne okrywają ziemię, ujrzysz naraz niezliczone światła, migające jak błędne gwiazdy. Widok ten nieustannéj przemiany drgającego światła i cienia, ma coś w sobie do marzenia nadzwyczajnie usposobiającego; nowe myśli i obrazy, nieznane w chwili zwykłego czuwania, w duszy postrzegającego jedne po drugich rodzą się, i nikną. Im więcéj zbliżasz się do miasta, tém bardziéj rośnie chaotyczna statków gromada; za najmniejszém oddaleniem się od miejsca, na którém się spoczywało, tak wielkie napotykamy mnóstwo tych pływających domów, iż sternik nieustannie musi szukać najmniejszéj pomiędzy nimi przestrzeni, aby krętym ruchem przemknąć się na niéj; często nawet stawać musi, wstrzymany zbytecznym natłokiem statków. Nadzwyczajna regularność i ścisłość, jaka odznacza wszystkie urządzenia chińskie, i któréj się wszystkie klassy społeczeństwa trzymają, przyczynia się widocznym sposobem do nadania większego życia i rozmaitości, téj i tak już z siebie zajmującéj scenie. I tak nietylko w dzień możesz rozpoznać barkę Mandaryna, lub innego urzędnika, za pomocą wywieszonych znaków, lecz i w nocy nawet, odmienne oświecenie od innych ją rozróżnia; albowiem przy statku, na którym urzędnik cesarza płynie, jaśnieją różnofarbne latarnie. Dodaj do tego jeszcze proste i jednotonne, nie bez powabu jednak żeglujących śpiewy, a będziesz miał choć słaby obraz téj pełnéj wdzięków sceny.“

Samo miasto chińskie Kanton obwiedzione jest wysokim murem, za który cudzoziemcowi wejść niewolno. Bezpośrednio do muru tego przytykają przedmieścia rozciągające się daleko, wyjąwszy na północ; tutaj wolno jedynie mieszkać cudzoziemcom. Właściwe miasto, w kształcie nieforemnego czworokątu, murami, jakeśmy powiedzieli, obwiedzione, rozdziela znowu mur środkowy na dwie części. Część większa, północna, zowie się miastem starém; mniejsza zaś, nowém; ostatnia, jak sama nazwa pokazuje, w czasie późniejszym, wzniesiona. W starém mieście mieszka Tschang-Kenn, t. j. wódz tatarski z pokolenia mandżurskiego, dowodzący oddziałem wojska czuwającego nad bezpieczeństwem miasta; właściwym rządzcą miasta, czyli całéj prowincyi, jest Fu-yuen, mieszkający w starém mieście; w nowém przebywa Tschunk-tuk, czyli wice-król, jak go Europejczycy zowią, najwyższy sędzia całéj prowincyi, z całém swém sądownictwem. Jednym z pomiędzy nich, jest Hae-kwan, zajęty jedynie czynnościami handlu.

Za murami Kantonu, w kierunku wschodnim, południowym i zachodnim, rozciągają się przedmieścia, równie ludne jak samo miasto. Dla wszystkich miast chińskich bramy szczególniejsze mają znaczenie; Kanton ich ma 16; przy każdéj noc i dzień liczny czuwa oddział żołnierzy; nikomu bez wyjątku nocną porą ani wyjść z miasta, ani też doń wchodzić nie wolno; jednakże straż przy nich łatwo zmiękczyć się daje, i bardzo chętnie, za małém wynagrodzeniem, otwiera je, chociaż za to przestępstwo, jeśli wyjdzie na jaw, surowa ją czeka kara. Pomimo największego zakazu, aby cudzoziemców do miasta nie wpuszczać, zwiedziło już wielu wnętrze jego. I tak, Amerykanin jeden, w podróży swojéj pisze, iż mu się udało ze swym towarzyszem, przez główną bramę wkraść się do Kantonu i przez godzin kilka po ulicach jego chodzić. Niezadługo jednak schwytany, niebardzo grzecznym sposobem do wyjścia zmuszonym został; a podczas swego pobytu w mieście, nic osobliwszego nie widział, prócz kilku Mandarynów w powozach po ulicach jeżdżących i kilku napuszonych małookich chińskich piękności, kolebiących się na okrągłych swych nóżkach. Z europejskich miast, Paryż tylko i London porównane mogą być w części z Kantonem.

Obrazek nasz dzisiejszy wystawia zakłady handlowe W. Brytanii, miejsce największego ruchu i życia, przez Chińczyków miejscem zamieszania nazwane.

Ostatnia wojna szwedzka.

(Powieść z krajowych dziejów 18go wieku. Napisał Nowowiejski Franciszek.)

Rozdział III.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
jéj przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
nieraz na pustych smętarzach i błoniach
staje widomie morowa dziewica,
w bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach,
czołem przenosi białowiezkie drzewa,
a w ręku chustką skrwawioną powiewa.
Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
a psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
kopią, śmierć wietrzą, i okropnie wyją.
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
na sioła, zamki i bogate miasta;
a ile razy krwawą ręką skinie,
tyle pałaców zmienia się w pustynie;
gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Konrad Wallenrod, pieśń wajdeloty.

W szarą godzinę wrześniowego wieczoru, w miejscu otwartém, przy domu w ogrodzie na Piasku, pod Krakowem, i kapucyńskim kościołem, roztoczyła się nasza chorągiew rajtaryi, „O rycerze moi, cóż was dziś przywodzi w gród zapowietrzony? wiem, że wam po stu bitwach śmierć nie nowość żadna, a trwoga rzecz obca; wiem, że wojna serca ludzkie znieczula na wszystko, co jest piękne, i okropnie tkliwe i bolesne; ale cóż znagla was narażać się bez potrzeby i chwały. Pojrzycie w miasto, to miasto trupów: bo jedni ludzie w niém wymarli, już pogrzebani, albo czekają pogrzebu; inni na poły jeszcze żywi, uciekli z miasta, lub zawarli się w domach, a tak zerwawszy ze światem, umarli na długo i ludziom i sobie. I cóż was tu przywiodło? prócz zarazy, nie ma tu nieprzyjaciela; prócz zarazy, nie ma tu innéj daniny; bo co złota i srebra uszło tu przed laty szponów Karola Gustawa, to dzisiejszym razem Karol XII. ze świątyń i ołtarzów tutejszych wyłamał. — Konie strudzone, snać pochód szybki odbyły; tymczasem towarzysze i szeregowi mając się ku noclegowi upragnionemu, należli odrazu koły drzewiane dla koni, i suche siągi olszowe na ognisko, a starszyzna dowódzcą poprzedzona, jechała na dziedziniec domu, przez bramę opatrzoną u góry herbem Leliwy. Sam tylko dowódzca przekroczył próg domowy: nikogo nie spotkawszy, minął przysionki, równie pusty przedpokój, i dopiero w głębi obszernéj komnaty bawialnéj, ujrzał przy mdłéj lampie za stołem siedzącą, urodną dziewicę, a jemu najpiękniejszą. Na jéj widok przyśpieszył kroku; ona czy przerażeniem, czy radością niesiona wyższą nad światową przyzwoitość, poskoczyła ku niemu, a ich oczy i usta, spotkały się prawie jednoczesnie. „Katarzyno, jestem," rzekł on, obejmując ją, „długo mnie prawda czekałaś, i byłabyś dłużéj, gdyby nie żelazna wola moja. Przybywam ze Saksonii z moim pułkiem gwardyi króla Stanisława. Dopiéro wczora wyszedłem z Częstochowy, a wiara poczciwa, od wczora, w jednéj prawie dobie, szesnaście mil ubiegła. Wiedzieli, czemu śilonym śpieszę pochodem. Przychodzą ślubami świętemi stwierdzić życia mojego cel upragniony. Nie mogłem piérwéj, a trudno było stósowniéj; dziś bowiem cztery lata, jak to nędzne życie moje, ocalone od bolesnej śmierci na stósie zamkowych gruzów, tobie zawdzięczam! Niech więc jutro do dnia, ołtarze przyjmą naszę miłość. Bo jutro jeszcze idziemy wytępiać te wałęsające się resztki saskich stronników; z niemi uparte rozprawy, a jeśli mam zginąć, niech więc nie kochankiem, nie oblubieńcem, ale mężem twoim ginę." „Mów ciszéj Michale," odparła dziewica głosem chwiejącym; „chora matka moja nie dawno zasnęła." A w téj chwili odgłos dzwonka obwieścił im jéj przebudzenie: oboje weszli do sypialnéj komnaty, klękli przy łożu matki, a ta ręce na ich głowach złożywszy, wzniesła oczy ku niebu, mówiąc: „Dzięki Ci, Boże, za dożycie błogiéj chwili ślubu córki mojéj." I natychmiast wydała dworzanom rozkazy niezwłocznego zajęcia się przygotowaniem ślubnego obrzędu, na jutrzejszy wschód słońca. Ślub, w czas wojny, wśród zarazy, przy śmierci matki, o ludzie!

gdzież wy szukacie nieraz chwili wesela? Dwór zaczął się krzątać. Katarzyna odeszła do swoich pokojów, a Michał ze starszyzną zajął mieszkanie na górném piąterku, i przybocznich wieżyczkach domu. Trzypiętrowy kielich z kryształu górnego, tak zdziałany, że pokrywę spodniego stanowił, drugi mniejszy, a jego zaś trzeci najmniejszy; kielich taki, opatrzony Augusta herbami, świeżo w Saksonii zdobyty, obchodził w koléj rozochoconą starszyznę, z toastem państwa młodych. Za nim szły inne; dowódzca wyniósł zdrowie króla Stanisława, rotmistrz spełnił toast króla szwedzkiego, a namiestnik rajtaryi na spomnienie Karola tak zaczął dumać o klissowskiéj bitwie: „Mój Boże," mówił, „była to bójka nielitościwa, miło o niéj po kilku leciech pomyśleć, a jeźli w niéj Marsem był król szwedzki, musiałby przeć prawdy, ktoby nie przyznał, że w niéj Herkulesem był elektor saski. Mimo takiego wojsk mnóstwa, rzec można, iż to była walka osobista, bo często widziano Karola torującego sobie drogę śród Sasów, a duński order słonia, zdobiący lwie piersi Augusta, rozbijał szwedzkie szeregi. Była to bitwa nad bitwami!" Tak mówił namiestnik, i byłby dłużéj, lecz ujrzał, iż mu nagle słuchaczów zabrakło, bo niewczasem i pochodem strudzeni, węgrzynem dobici, padli pokotem na posłanie, namiestnik nie wachał się pójść spieszno za ich przykładem. Zasnęli; malowny był obraz ich noclegu: byli to ludzie osiedli, którzy jeźli nie żony, jeźli nie kochanki, to pewno rodziny i domy odbieżone zostawili, prosto rolę odbiegli, a z ich postaci wziąłbyś ich za przyrodzonych żołnierzy. Myśl ochocza wiodła ich z bojów na boje; zdrowie żelazne, walczyło niewczasy, a krótki spoczynek dawne im siły przywracał. I ledwo zorza zmrok nieco rozbiły, a trębacz rajtaryi pobudkę uderzył, jéj nuta odwieczna, jakby gromem rycerstwo zbudziła. Zerwali się wszyscy, zeszli na dolne pokoje, gdzie już na nich tylko czekano z udaniem się do kościoła. Panna młoda z poważną matroną i drużbami swojemi, nowotną kolébką drezdeńską pojechała do kościoła św. Szczepana. Rotmistrz i namiestnik towarzyszyli konno panu młodemu. Słońce wschodzić zaczęło, gdy przed kościołem stanęli. Przy smętarzu zeszli się z Reformatem, który w braku innego kapłana, musiał dopełnić tego obrzędu: pleban bowiem umarł właśnie dotknięty morową zarazą. Lecz jakież okropne widowisko czekało przychoduiów na samym smętarzu. Scieżka wiodąca przezeń do podwojów kościoła, cała zarzucona była trupami umorzonych téj nocy. Tymto sposobem lud biedny pozbywał się ofiar strasznéj klęski. Grobarze i inna służba kościelna, rzucili się do zrobienia drogi państwu młodemu, rydlami ze ścieszki ciała odwalając, z których nie jedne miały jeszcze nie prózny może wyraz życia. Taka to droga do ślubnego ółtarza zgotowaną była stadłu temu. Pomału odbył się ten obrząd przed ołtarzem św. Urszuli, lecz zaledwo go skończył mniéj wprawny Reformat, gdy pannę młodą pokryła bladość grobowa. Zemdlona, padła w ręce kobiet; ale po chwili wydarła się z ich objęć, niespokojna, lękająca się wszystkich, jakby odpierając kogo od siebie, wołała przeraźliwie: „Wszak ty mnie sam opuściłeś, po co tak strasznie patrzysz ku mnie? jam nic nie winna! tyś mnie sam zaniedbał! Kto ci kazał? Ale widzę przy tobie Saksonkę piękniejszą odemnie, ona tak cię kocha, wszędzie pójdzie za tobą, zatrzyma cię nad każdą przepaścią, trzyma cię, ale daremnie, ty giniesz śmiercią okropną, niesławną, biedny Rejnoldzie!" a wszyscy obecni chórem krzyknęli: zaraza! zaraza! Gdy tymczasem po za kościołem ozwał się grzmiący odgłos: „Szmigielski! Szmigielski!!!" Odgłos ten dowódzca chorągwi tak dobrze zrozumiał, jak znamiona choroby małżonki swojéj. Miotany tylą uczuciami, powierzywszy ją staraniu obecnych, nie pytał już wpadającego Stacha, o przyczynę téj wrzawy, i świecką furtką chorągwi swojéj dopadłszy, cwałem na jéj czele rzucił się w stronę Kleparza, gdzie najgłośniej brzmiało w powietrzu, straszne Szmigielskiego imię.

(Koniec nastąpi.)

Życie Jędrzeja Sniadeckiego

przez

Michała Balińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Potém zaś nadana mu została godność dostojnika (dygnitarza) nazwiskiem Rej, na pamiątkę piérwszego znajomego w literaturze polskiéj z wesołości i dowcipu pisarza Reja z Nagłowic, a wszystko w hołdzie szacunku i uwielbienia towarzystwa dla swego przewodnika (1). I rzeczywiście możnaż było więcéj uczynić dlań w tém nowém położeniu? mo-

(1) Kilku innych znakomitych literatów naszych dotąd żyjących, należało również do grona Szubrawców wydających Wiadomości brukowe, posiadając wysokie w niém urzędy i stopnie. Między nimi pierwsze miejsce trzymali: uczony Leon Borowski, niegdyś professor poezyi i wymowy w uniwersytecie wilenskim, który w swoich pismach odznaczał się przedziwnym dowcipem i prawdziwym humorem angielskim, którego wyborne tłómaczenie z hiszpańskiego języka na polski historyi *Donkiszota*, dotąd w rękopismie zachowując się, tak jest pożądane, żeby nakoniec wyszło na jaw. Leon Borowski był mówcą i piérwszym witajnikiem z nazwiskiem Pergrubius. Witajnikiem zaś drugiego stopnia i dostojnikiem Gulbi był znakomity nasz liryk Ignacy Szydłowski. Jego ody tak zwane szubrawskie, pisane z powodu przyjęcia nowych członków do zgromadzenia, kiedy będą powszechniéj znane, umieszczą go w naszéj literaturze jako liryka obok Kochanowskiego. Pełne są ognia, prawdziwéj poezyi i prześlicznych wyrażeń.

żnaż było przedziwniéj bronią dowcipu i żartu naprawiać śmieszności w obyczajach, powściągać nawet przestępstwa i nadużycia pokątnie popełniane, a formami lub przebiegłością od surowości praw osłaniające się? Sniadecki przez cały ciąg zacnego swojego życia, wśród dni i lat przepędzanych ustawicznie, albo na oświeceniu i ćwiczeniu w głębokich i pożytecznych prawdach, młodocianych umysłów, albo na ratowaniu, nie mówię osób chorobami ściśnionych, ale rodzin całych rozpaczą i bojaźnią przejętych; wśród takiego pasma cnotliwych i błogich uczynków, znalazł jednak chwile swobodne, które poświęcił innym nawet rodzajom literatury. Wyborne są wszystkie w ogólności i na zawsze pamiętne artykuły jego żartobliwe, które umieszczał w brukowych wiadomościach. Najżywszy dowcip i delikatna satyra nikogo wyłącznie nie dotykająca, lecz ku naprawie całéj spółeczności skierowana, główną ich jest cechą. Celującém jednak nad wszystkie pismem jego w tym rodzaju, jest bezwątpienia *Próżniacko-filozoficzna podróż po bruku*; a w niéj przedziwny opis towarzystwa sentymentalnego. Całe to dzieło, bo tak go nazwać możemy, jest żywym obrazem wad i usterków krajowych, jest skarbcem najpiękniejszych zasad, i zbawiennych rad w życiu prywatném. Potém następuje co do wartości, inne jego satyryczne pismo o chorobie krajowéj, *Juromanią* zwanéj, traktujące. Nader dowcipnie i z wielką prawdą potrafił w niém wyszydzić autor obrzydliwe pieniactwo, bo sam posiadając własność ziemską, doświadczył niestety zbyt długo i zbyt dotkliwie, od sąsiada ciężką ową chorobą dotkniętego, wszystkich pocisków téj nieszczęsnéj plagi tak srodze, przed dwudziestu kilku laty, w tamtych prowincyach grasującéj (2).

Jeżeli pewna część artykułów ogłaszanych w Brukowych wiadomościach, spółczesny i stósowny do okoliczności wzbudzając tylko interes, nie zostawiła po sobie prawdziwéj wartości naukowéj; z drugiéj strony znany powszechnie dowcip Jędrzeja Sniadeckiego, znalazł obszerne pole okazania całéj swojéj mocy i wdzięku. Pisma jego wyższe jeszcze może nad epokę czasu, któréj je poświęcił, zajęły na zawsze wysokie miejsce w satyrycznym oddziale literatury naszéj, i nowych laurów sławie jego autorskiéj przyczyniły.

Lecz ten rodzaj pisania tak był powabny dla Jędrzeja Sniadeckiego, i tak w nim zamiłował, że na długo pióro jego samym tylko podobnego rodzaju humorystycznym pismom zostało. Nie prędko, bo aż 1822. roku, znowu się zwrócił z upodobaniem do przedmiotów mających związek z jego pięknym zawodem. Wtenczas właśnie zastanawiając się nad rozprawą swoją: *o fizycznem wychowaniu dzieci*, którą w dzienniku wileńskim r. 1805. umieścił, przejęty ważnością materyi, poświęcił cały swój czas swobodny przerobieniu początkowéj pracy, spiesznie zrazu wykonanéj i ogólny tylko zarys pięknych jego myśli i zamiarów rzucającéj. Postanowił Sniadecki podać pewne prawidła, z długiego doświadczenia i głębokich obserwacyj wyciągnięte, dla rodziców i mistrzów lat dziennych młodzieży krajowéj, co do fizycznego jéj wychowania. Dokonał tego w dość obszerném pismie, które po zgonie jego znalezione między rękopismami, można uważać za kodex zawierający wyborne w téj materyi przepisy. Tą nową pracą, która powinna być policzoną do najwalniejszych płodów pióra tego męża, dowiódł, że wielkość umysłu nieoddzielną w nim była zawsze od wielkości pięknéj jego duszy, i szlachetności zamiarów. W tymże samym czasie odezwał się jako chemik w dzienniku wileńskim (3), podając dość niezmiernie ważny roz-

---

(2) Ten nieszczęsnéj pamięci sąsiad, głośny nietylko w Wilnie, ale i na całą Litwę, był najdoskonalszym typem pieniacza, a tak osobliwszém zjawiskiem w swoim zawodzie, że zaledwo wieki coś podobnego znowu wydać potrafią. Felicyan Bieńkuński, szambelan b. dworu polskiego, należał do majętnéj szlachty powiatu oszmiańskiego Stary kawaler, i tak stary, że zapomniał był o dacie urodzenia swego, tylko babki przypominały pięknym wnuczkom, do których się zalecał, że jeszcze ich samych był wielbicielem. Z resztą czerstwy, wysoki, zyzowaty, śiwiznę okrywał kasztanowatą peruką, a kiedy się wybierał w odwiedziny, kładł na się bronzowy wypłowiały frak i siadał do kocza najstarszego w powiecie. Cztery szaro nakrapiane i kulawe szkapy, ciągnęły ten odwieczny powóz, okryty ciągle szanowaną pleśnią, a najęty na ten jedynie przypadek woźny, jaki włóczęga, lub szlachcic okoliczny, służył za lokaja; często przyjeżdżał i bez niego, kiedy w drodze czasami mniemany pan poróżnił się z najemnikiem. Co rok oświadczał się innéj i to najwięcéj szesnastoletniéj pannie szczególniejszym sposobem, bo zawsze przez jednego swego arendarza żyda; grubym i nieokrzesanym głosem prawił komplementa, albo rozmawiał o pozwach i kondemnatach. Bo te ostatnie były tylko jedyném jego zatrudnieniem i rozrywką. Pomimo dwóch czy trzech dworów, które posiadał, niemiał gdzie mieszkać, bo domy stały bez dachów i okien. Mieszkał więc w pozioméj chałupie wieśniaczéj, gdzie różne prawne szpargały, pozwy i dekreta powtykane do szczelin po ścianach, były jedyną jego biblioteką. Pomimo wybornéj ziemi w swoich folwarkach, licznych niegdyś inwentarzy, ślicznych stawów i t. d., niemiał czego jeść; bo grunta leżały odłogiem, stawy pozarastały, inwentarze niedbałością i głodem zmarniały. Nasz jurysta zajadał z niepospolitą filozofią groch i bób gotowany, i przestawał na chlebie i źródlanéj wodzie. Polem sławy jego były wszystkie sądy i zajazdy w sporach granicznych, zkąd nie zawsze bez szwanku wychodził. Nic jednak w tym człowieku osobliwszym stłumić raz wkorzenionéj passyi niezdołało. Umarł nędznie, straciwszy po dwa razy wcale znaczny majątek. Sniadecki wiele mu dobrowolnie ustąpił z wynagrodzenia za straty przez sąd przyznanego, za co mu B. wdzięczny jednak był, chociaż zawsze po swojemu. Gdyby znakomity nasz komik Fredro znał wszystkie szczegóły i okoliczności życia tego rzadkiego oryginału, mógłby mieć wyborny wzór do przedziwnéj i prawdziwie charakterystycznéj komedyi **Pieniacz**!

(3) T. I. str. 481. O żelazie meteoryczném rzeczyckiém.

biór żelaza meteorycznego, dwoma laty wprzódy w powiecie rzeczyckim spadłego, i obok tego ciekawą hipotezę o początku tworzenia się tych brył nadziemskich. Cóżkolwiek bądź, było to jednak ostatnie jego pismo chemiczne. Tymto ważnym artykułem, zdaje się, żegnał ulubioną sobie naukę i zamykał jéj kurs dwudziestopięcioletni. Wkrótce bowiem, bo 4. Czerwca tegoż roku 1822., wziął uwolnienie ze służby publicznéj jako emeryt, skończywszy tym sposobem długi i piękny zawód professora chemii w uniwersytecie wileńskim. Nie długo jednakże używać mógł miłego po tylu świetnych trudach spoczynku, na łonie rodziny, którą tak czule kochał. Dwa zaledwo lata upłynęły, a już głos publiczny i nalegania zwierzchności edukacyinéj, wezwały go na zawakowaną katedrę kliniki, któréj aż do zgonu już nie opuszczał. Tu dopiéro otworzył mu się nowy zawód prowadzenia młodzieży, poświęcającéj się naukom lekarskim, drogą praktyki, któréj tyle i w tak wysokim stopniu posiadał, a bez któréj cała medycyna możeby była nietylko płonną, ale i szkodliwą osnową wiadomości zawiłych i domysłowych. Pod stérem takiego nauczyciela, lekcye kliniczne wzorowie kształcić zaczęły wielką liczbę lekarzy, jednając szkole medycznéj wileńskiéj, oddawna już pod tym względem ocenionéj, coraz większą powagę i sławę. Jakoż w przeciągu lat kilkunastu wyszła z pod mistrzowskiego przewodnictwa Jędrzeja Sniadeckiego liczna młodzież, która w sztuce lekarskiéj przejęta mądremi zasadami swojego wielkiego nauczyciela, rozszerzyła jaśniejsze światło po nauce, a w praktyce równie dla wojska, jak i wszystkich innych stanów, zdrową i skuteczną, bez przesady i szarlataństwa, pomoc nieść nauczyła się. Uznała zwierzchność tak wielkie zasługi czcigodnego męża, i licznemi oznakami honorów go zaszczyciła, ozdabiając między innemi orderem św. Anny z koroną. Wdzięczna była publiczność za wysokie światło, które jako publiczny nauczyciel wszędzie i tak pomyślnie rozszerzał; za skuteczną radę i pomoc lekarską, których jako wielki praktyk dobroczynnie wszystkim udzielał; i tę swoję wdzięczność niewygasłą w powszechnéj dłań miłości i szacunku obecnie i na przyszłość utrwaliła.

Od objęcia katedry kliniki przez Jędrzeja Sniadeckiego, zaczęła się dłań nowa i ostatnia epoka życia literackiego. Chemia, lekcye jéj w uniwersytecie, doświadczenia i wszelkie w niéj badania, przeszły pod stér uczonego professora Fonberga, godnego ucznia tak znamienitego mistrza. Byłoto niejako piękne i bogate dziedzictwo, opatrzone, urządzone i wydoskonalone, które gieniusz opiekuńczy składał w ręku pojętnego wychowańca, z pełną ufnością, że będzie umiał pielęgnować i kształcić mozolną pracę poprzednika. Następca nie zawiódł nadziei (4), a dawny przewodnik, spokojny o los nauki, którą mu powierzył, obrócił w inną stronę siły i prace umysłowe, samemi nawet latami i słabém zdrowiem niezwalczone. Medycyna stała się odtąd już jedyném prawie zatrudnieniem naukowém Sniadeckiego. Na tém polu zebrał on najświetniejsze plony swoich zasług, na niém rozpoczął zawód tak zaszczytnie ku starości prowadzony; tu więc chciał kończyć, ozdabiając zachód pięknego życia pożytecznemi dla ludzkości pracami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(4) Uczony professor Fonberg, nietylko z objęciem katedry chemii w uniwersytecie wileńskim, wzorowie urządził na nowo gabinet pracowni chemicznéj, nietylko swoje lekcye pracowicie i wymownie słuchaczom swoim wykładał, ale nadto zbogacił literaturę polską umiejętności, obszerném i wyborném dziełem o chemii, traktowanéj już w daleko większéj rozciągłości i zastósowaniu do techniki. Szkoda nieodżałowana, że dotąd dalsze tomy téj znakomitéj pracy nie są ogłoszone drukiem.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)